

ŚLAZACY
ZA
DRUTAMI
OBOZU
KONCENTRACYJNEGO

dr Oskar Drechsler

Portal Powiatu Tarnogórskiego
Tarnowskie Góry 2008

Przygotowania do uczczenia XX-lecia Polski Ludowej napawają każdego radością - wszystkich, którzy choćby w najskromniejszy sposób dołożyli cegiełkę do jej rozkwitu. Osiągnięcia ludu polskiego liczymy ilością megawatów, nowych izb mieszkalnych, nowo wybudowanych szkół, domów kultury i stadionów sportowych, liczymy je milionami ton wydobytego węgla czy wyprodukowanej stali i innymi wskaźnikami naszej produkcji przemysłowej i rolno - spożywczej. To są wyniki planowej gospodarki narodowej, zesumowanie ofiarności i dorobku ludu pracującego. Oceniamy je z dumą i wdzięcznością, bo wiemy, że wraz z potencjałem ekonomicznym naszego kraju w światowej skali wzrasta polityczna pozycja Polski.

Nie wolno nam jednak przemilczeć pamięci tych, którzy osobistymi cierpieniami, patriotyczną postawą, a bardzo często nawet własną ofiarą życia kładli podwaliny pod budowę wymarzonej wolnej Ojczyzny, nim jeszcze zdolała zapuścić korzenie w

glebę polskiej krainy. Ci wszyscy, mężnie wyznając swe przywiązanie do Ojczyzny, stawiali heroiczny opór odwiecznemu wrogowi w czasach jego największej butności i rozzuchwalenia.

Udział Śląska w ekonomicznym i politycznym przeobrażeniu Polski jest ogromny. Śląski lud również podczas okupacji, chociaż znajdował się w nader trudnej sytuacji politycznej, gdyż cały teren włączono w obręb III Rzeszy, wcale nie ugiął się przed wrogiem. Świadczą o tym dokumenty o dokonanych przez wroga na śląskich patriotach w miejscach publicznej egzekucji, więzieniach i obozach koncentracyjnych.

W niniejszej broszurce o "Ślązakach za drutami obozu koncentracyjnego" pragnę utrwalić to, co jeszcze do dziś utkwilo mi w pamięci mego pobytu w obozach koncentracyjnych Dachau i Gusen. Z obfitości wspomnień starałem się uchwycić jak najbardziej obiektywnie te wszystkie szczegóły i wydarzenia które z

biegiem lat nie uległy zamgleniu. Proszę mi wybaczyć, że i moja osoba będzie wplątana w toku opowiadania. W obozie nie byłem długo, bo 8 miesięcy, a jednak wróciłem już zupełnie wyczerpany fizycznie, w ostatniej chwili uratowany z objąć śmierci.

Przyczynek do smutnych dziejów epoki obozów koncentracyjnych stanowi pod względem kunsztu pisarskiego coś nieudolnego, ale treść jest prawdziwa i szczerą - bez żadnej fantazji. Opisuję wszystko bez zniekształcenia w jednym czy drugim kierunku. Mam odwagę przyznać się i do tego, cośmy w obozie brakiem własnej dyscypliny zawinili, bo nie lubię nieprawdziwego mitu wokół sprawy, którą jeszcze teraz boleśnie odczuwam. Niech moje wyznania będą przestrogą dla tych, którzy i dziś w zorganizowanym łańdźie społecznym nie potrafią żyć zdyscyplinowanie.

Nie podaję też ścisłych dat, gdyż mogły tym powstać pewne drobne niedokładności, a chcę, by to, co jest napisane, było absolutną prawdą.

Tych, którzy ewentualnie wykorzystają moje wspomnienia do dalszych prac historycznych dziejów Śląska usilnie proszę, by je przekazano bez najdrobniejszych zniekształcenia treści, bo wspomnienia traktuję jako dokument prawdy o zbrodniach niemieckich faszystów.

Oskar Drechsler, 1966

Działo się to wcześniej rano pewnego poniedziałku w kwietniu 1940 r. Gwałtowne uderzenia o drzwi domu zbudziły mnie z ciężkiego snu. Zerwałem się z pościeli, będąc przekonany, że mam przed sobą znowu jakiś poważny i pilny przypadek z praktyki weterynaryjnej. Kilka godzin temu, jeszcze po północy udzielałem pomocy przy bardzo trudnym porodzie u krowy. Zabieg przeprowadziłem pomyślnie, ale mocno się przy tym zmachałem. Więc mimo woli z odruchem pewnej niecierpliwości zareagowałem na dobijanie się do domu. Już chciałem coś wykrzyknąć, żeby zachowano się kulturalniej, kiedy wyjrzałem poza firany okna i ku mojemu przerażeniu zobaczyłem dom obstawiony hitlerowskimi żołdakami. A w ukryciu wezgłowia sąsiedniego domu spostrzegłem mego Judasza, który całą hałastę przyprowadził przed dom. Wstrząśnięty do głębi, zaraz się opanowałem. Błyskawicznie przemknęło mi w głowie, czy też podejrzanę książkę ukryłem należycie i prowizorycznie ubrany, otworzyłem drzwi. Dwaj SS-mani ze skierowaną przeciw mnie

bronią stali przede mną. Oświadczyli mi rubasznym tonem, iż mam się natychmiast ubrać, wziąć ze sobą koc i coś do jedzenia. Zaraz potem zjawili się więcej takich drabów. W pośpiechu przerzucono całe mieszkanie. Gdzieś znaleziono mapkę Śląska Cieszyńskiego, na której czerwonym ołówkiem wykreślone miałem wsie, należące do mojego okręgu szczepienia trzody chlewnej przeciw różycy. Musiałem draniom tłumaczyć, że to żaden akt o militarnym zasięgu, lecz nie uwierzono mi, bo mapkę zarekwirovano jako corpus delicti mej politycznej przestępczości. Skonfiskowano też kilka listów o błażej treści. Byłem na tyle przezorny, że wszystko co mogło mnie obciążyć, schowałem w bezpiecznej skrytce pod dachówkami. Kiedy więc i na strych skierowały się ciężkie buciska SS-manów, przeżywałem chwile nerwowego napięcia, które jednak szybko minęły, bo zaraz wrócili, gdyż widocznie śpieszyło im się dalej po "ofiary".

Byłem wówczas jeszcze wolnego stanu i mieszkałem sam w

jednorodzinny domku. Gosposię zwolniłem zaraz na początku wojny, nie byłem w stanie jej opłacać i dochodziła tylko posprzątać. Wiktowałem się u dobrego Polaka, gospodarza i zanego człowieka. Praktykę wykonywałem potajemnie, a miejscowa ludność była polska i ceniła mnie jako ofiarnego lekarza wet. Leczyłem ludziom prawie za darmo, żeby jakoś wyżyć i przetrzymać - takiego bowiem wraz z wielu innymi byłem zdania, że potrwa to niedługo. Niestety my wszyscy wtenczas nie orientowali się co do słowności i rzetelności naszych sprzymierzeńców i co do układu rzeczywistych sił militarnych. Do mej praktyki wystarczył mi stary rower, bo własny nowy samochód i motocykl przypadł zaraz na początku zawieruchy wojennej. Zresztą nigdy nie byłem materialistą i do dóbr materialnych nie przywiązywałem specjalnej wagi. Toteż wtenczas, kiedy w pośpiechu wkładałem do teczki resztki suchego prowiantu, który był w spiżarni, kiedy wsuwałem całą moją gotówkę - kilkadziesiąt marek - i osobiste dowody do portfela, ani mi na myśl nie przyszło, że stracę wszystko.

Odebrano mi klucze od domu, a krewnym niestety nie udało się uratować moich nowych mebli. Przepadły na własność III Rzeszy.

Naprawdę, te wszystkie doczesne dolegliwości w chwili aresztowania mnie nie przejmowały, z ócz jedynie nie mogła mi zejść sylwetka J. M., mego zdrajcy. Ani wtenczas, kiedy już z wraz z innymi stałem na baczność twarzą zwrócony do ściany w osobnym przez SS-manów strzeżonym lokalu miejscowej restauracji. Dopiero kiedy kulturalny, chociaż narodowo od Polaków nieco z boku stojący właściciel restauracji podał mi szklankę wody sodowej z naprawdę serdecznym gestem i niezmiernym wyrazem współczucia, przeprasząc mnie wzrokiem, że takie upokorzenie spotkało mnie w jego lokalu, przebaczyłem i Tobie Józefie - Judaszu! Pomyślałem sobie, że może zmuszono Cię do wskazywania domostw tych, którzy byli na liście wyznaczeni do aresztowania. Wiesz też, że kilka lat temu znowu byłem w moich rodzinnych stronach, między innymi i Tobie podałem rękę i mile Cię

przywitałem. Wiem, że zawsze byłeś politycznie niezdecydowany, chciałem Cię umocnić w polskości i umyślnie wyznaczyłem Cię do mego grona członków Gminnej Rady. Niestety nie udało mi się w tak stosunkowo krótkim czasie przerobić Cię na Polaka o twardej woli. Twoja giętka postawa uchroniła Cię wprawdzie od następstw okupacji, ale śmiem twierdzić, że kiedy po kilkunastu latach spotkaliśmy się w gronie innych gospodarzy, wyczułem Twoje wielkie zażenowanie, a następnie Twą wylewną serdecznością chciałeś zapewne powiedzieć, że żałujesz. I przebaczam Ci z serca gdyż nie pragnę, byś umierał z sumieniem obarczonym krzywdą względem bliźniego.

Mimo szorstkiego obchodzenia się ze mną, jakoś ze spokojem dostosowałem się do sytuacji. Najbliższa i najdroższa mi osoba, ś.p. Matka zmarła przedwcześnie i od trzech lat spoczywała już na cmentarzu, a o staruszka Ojca nie miałem obaw, bo miał dobrą opiekę u siostry, niezaangażowanej politycznie. Medytowałem więc nad tym, dokąd nas

będą wywozili. Może do robót w Reichu. Nie obawiałem się ani najgorszej pracy, bo od młodości byłem do niej przyzwyczajony. Moje życie nie układało się łatwo. Jako uczeń a później student nigdy nie zażyłem prawdziwych wakacji. Musieliśmy ciężko pracować przy żniwach i młóccc. Wtenczas jeszcze nie było maszyn, koszone kosami, a cepami bito na boisku w stodole, prawie że cztery tygodnie od wczesnego rana do wieczora. Nam dzieciom ręce omdlewały z pracy. Musieliśmy sami w domu dorabiać, a tym zaoszczędzić grosz na dalsze studia. Wykonywałem w gospodarstwie najpodlejsze i najtrudniejsze roboty jeszcze podczas ostatnich wakacji w czasie studiów w akademii. Nie wstydzę się tego do dziś, były one poniekąd potrzebne do hartowania ducha i akceptacji spartańskich zasad życia. Nie wiedziałem, jak smakuje papieros, w domu nie było kropli wódki, a o zabawach tanecznych nikt nie myślał. Zato czytaliśmy dużo.

Nie można więc powiedzieć, że przejmowałem się moim aresztowaniem

i brutalnością „opiekunów”. Uważałem za rzecz naturalną, że mnie zamknięto. Przecież wszystkich miejscowych niemiaszków wyprowadzało z równowagi, że jako wychowanek wprawdzie polskiej szkoły ludowej, zato niemieckiej szkoły średniej i wyższej stałem aż do chwili wkroczenia wojsk hitlerowskich na czele gminy jako polski komisarz rządowy w Pietrowicach na Zaolziu. Potem przy rejestracji ludności przez hitlerowców, kazałem sobie pisać „palcówkę” po polsku, podając narodowość polską i przyznając się do Państwa Polskiego, które według mniemania okupanta już nie istniało.

Szczególnie nie mogli wybaczyć mi tego, że kiedy jeszcze początkowo w pietrowickim kościele odbywały się częściowo i polskie nabożeństwa, ostentacyjnie chodziłem tylko na polskie Msze św. Wtenczas każdą niedzielę silnym, doniosłym głosem śpiewałem tak, że wszyscy obecni dobrze słyszeli:

„Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud, słuchaj, słuchaj, uczyn z nami cud!

Przemień o Jezu, smutny ten czas, o Jezu pociesz nas!”

To był już w ich oczach nie bierny opór z mej strony, ale niesłychana prowokacja, a wiem, że i podczas polskich nabożeństw w kościele byli szpicle.

Natomiast wszyscy mieszczuchy zdali sobie z tego sprawę, że i podczas mego urzędowania jako komisarz gminy nikogo nie skrzywdziłem, wydawałem zawsze decyzje sprawiedliwe, bo w każdym człowieku widziałem przyjaciela, a nie wilka. Toteż kiedy już w dniu 2. września aresztowano mnie i odstawiono do Frysztatu na komisariat policji, by tłumaczyć się z mego urzędowania, zwolniono mnie zaraz, bo samorzutnie znalazło się za mną sporo orędowników frysztackich. Prawdopodobnie przypuszczali, że teraz ochotnie do nich przystąpię i rzućę się w aktywny nurt niemieckiego kierunku myślenia. Tak jednak czekali pół roku, jakoś nie odmieniłem się i pozostałem nadal „zakałą”. Musiano mnie usunąć, bo wiedziano, że 90% ludności mam za sobą i mógłbym jeszcze im narobić ambarasu.

Wiedzieli, że niemieckie „Siegy” głośno krytykuję. Mimo wrześniowej klęski zawsze mocno wierzyłem w zwycięstwo sprawiedliwości dziejowej. Raz tylko, kiedy doszła wieść, że padła Warszawa, ogarnęła mnie nagła cielesna słabość, dostałem coś niby w rodzaju ataku serca i spocony w jakiejś drętwoce przeleżałem apatycznie sporo minut w ogrodzie na trawie i nie miałem sił się podnieść.

Ale wiary w zwycięstwo polskiego oręża i polskiej racji nie straciłem ani w najstraszliwszych chwilach mego pobytu w obozie koncentracyjnym. Ta moja wiara w lepsze jutro udzielała się i innym, była balsamem dla cierpiących i niejednego uchroniła przed zwątpieniem i śmiercią.

II.

Wieczorem o zmroku przewieziono nas na ciężarówce do siedziby Gestapo w Cieszynie. Stamtąd jeszcze tej samej nocy do nieczynnej fabryki Kohna, gdzie

w pierwszym wydaniu zaprezentowano nam pruską kulturę XX wieku. Dotychczas bowiem obchodzono się z nami jeszcze jako tako, bo chociaż już bardzo szorstko, jednak jeszcze nie używano przyrządów, którymi w cyrku karci się dzikie bestie. Od wejścia w mury fabryki Kohna niestety nie odstępowały nas kije, bykowce i ciężkie bucioro niemieckich Kulturtragerów. Pierwsze odruchy skrzywdzonego to jakby szarpanie się uwięzionego zbolełego zwierzęcia na skutek ciosów zadanych mu przez krzywdziciela, z czasem jednak ustępowały one uczuciom niezmiernej pogardy w stosunku do oprawców. Dla mnie jako absolwenta wiedeńskiej wyższej szkoły, gdzie austriackich Niemców cechowała wysoka kultura i szczerą uprzejmość w podejściu człowieka do człowieka, zachowanie się ludzi tej samej narodowości w sensie zupełnie odwrotnym, odurzyło mnie i zrobiło wrażenie nader bolesne. Przyglądając się tym ludobójcom, nijak nie mogłem skojarzyć wartości niemieckiej kultury i wiedzy, przekazywanej całemu światu przez wybitnych przedstawicieli tego

narodu jak Goethego, Schillera, Wagnera, Kocha i innych z faktami zaprzeczenia najprymitywniejszych praw człowieka. To, cośmy na własne oczy widzieli, przekracza pojęcie najohydniejszej tyranii i niewolnictwa.

XX wiek! Era tak bogata w pożyteczne wynalazki umysłu ludzkiego, naszpikowana najwznioślejszymi hasłami kultury, postępu i humanitaryzmu, a tu potworna otchłań niesprawiedliwości ucisku człowieka pod egidą narodowego socjalizmu.

Mury starej fabryki Kohna wypełniły się szyderstwami i przekleństwami przedstawicieli niemieckiego nadczłowieka, a ciche jęki pierwszych ofiar owej kultury wibrowały przez całą noc od ściany do ściany, wołając o pomstę do Nieba. Na komendę musieliśmy się wszyscy położyć twarzą na stęchłą słomę lekko usłano na posadzce fabryki. Tak leżeliśmy w formalnych mękach do pobudki, której właściwie nie było, bo nocy tej nikt nie potrafił zasnąć. Rozpoczęły się bowiem

pierwsze zuchwałe znęcania SS-manów nad bezbronnymi więźniami. Najbardziej z maltretowano księży i nauczycieli, gdyż właśnie oni byli trzonem krzewienia polskość na Śląsku. Obok mnie w nieludzki sposób katowano bardzo zacnego i znanego kapłana, emeryta – profesora ks. Prałata Dr Rudolfa Tomanka. Tego nie da się opisać, jak się z niego naigrawano i ile tam padło obrzydliwych bluźnierczych słów pod adresem naszych uczuć religijnych. Staruszek ten był wątłego zdrowia, na jego szczupłym ciele uderzenia musiały dochodzić do kości. Po tej sromotnej nocy opatrywałem moimi chusteczkami jego skaleczone łokcie, z których była zdarta skóra. Krwawiły mocno, a biedaczyna nic z sobą nie przyniósł, bo wprost wywlekli go z mieszkania. Człowiek pełen dobroci i miłego usposobienia. Nie załamał się pod ciężarem fizycznych dolegliwości w Gusen, przewieziono go później do Dachau, gdzie zmarł. Piszę o tym tak obszernie, bo niemieccy katolicy poza Łabą nie chcą wprost w to uwierzyć, że coś podobnego mogło się dzieć.

Tam znów pod ścianą katowano do krwi kierownika szkoły. Musiał zmieniać bieliznę, bo ta na ciele była przesiąknięta krwią.

Ponurym pomieszczeniom starej fabryki Kohna przyszło wtenczas w udziale gościć najwierniejszych Synów Ziemi Cieszyńskiej. Ofiara bezgranicznej miłości i oddania się Ojczyźnie!

III

Po kilku dniach pobytu w fabryce Kohna pod silną eskortą wyprowadzono nas w szeregach do pobliskiej stacji kolejowej w Cieszynie. Był to bardzo ponury pochód. Tu i ówdzie jakaś ludzka sylwetka mijała nas w odruchu panicznego strachu. Ulice prawie puste. Wiemy że za niejedną z firan frontowych okien ulic z bólu biły serca Polaków, a cieszyńscy Niemcy widocznie sami wstydzili się swoich przedstawicieli wybranego narodu, bo jakoś nie dostrzegliśmy żadnej uśmiechniętej twarzy na ulicy. Na

dworcu stał długi pociąg, składający się z samych wagonów pullman. Stwarzało to pozory, że obchodzili się z nami jako politycznymi więźniami bardzo delikatnie. Zapewne tłumaczono tak cieszyńskim Niemcom. Staliśmy się przecież tylko "Schutzhaftlingami" do zabezpieczenia ładu politycznego III Rzeszy! Ulokowano nas przecież bardzo wygodnie, tylko po 8 osób w przedziale. Co za humanitaryzm!

W rzeczywistości byliśmy mocno strzeżeni, okien nie było wolno otwierać.

Wspomnień z samej podróży pozostało mi mało. Gwarzyliśmy między sobą w przedziale na różne tematy, jednak po "lekcji" u Kohna nie było nam nijak wesoło. Optymiści byli zdania, że to była "szkoła" za przyznawanie się do polskości, a teraz jedziemy gdzieś na roboty do Reichu. Nawzajem dodawaliśmy sobie otuchy, jednak niektórzy bystrzejsi przebąkiwali już o obozie koncentracyjnym. Wiedzieliśmy na ogół mało o metodach w takich obozach, nie wyglądało więc to aż tak

groźnie.

Początkowo trudno było nam się zorientować, w którą stronę właściwie jedziemy, bo była noc. Nad ranem ustaliliśmy, że jedziemy w kierunku zachodnim. Z lewej strony okna zobaczyliśmy zadymioną kotlinę i wnioskowaliśmy, że musi to być Wałbrzych. Nasz dzisiejszy polski Wałbrzych, z którego kwitnącego przemysłu tak bardzo jesteśmy dumni. Gdyby nam wówczas dobry duch Liczyrzepa powiedział, że ziemie te za parę lat będą zawsze polskie, katownie obozów koncentracyjnych nie byłyby dla nas tak przerażające, a ludzie umieraliby z uśmiechem na twarzy.

Jechaliśmy przypuszczalnie przez Saksonię, przez Drezno i Lipsk, a drugą noc nad ranem dojechaliśmy do Monachium, do mrowiska hitleryzmu, bo tam się rodził i rozwijał. Niedługo potem wjechaliśmy na dworzec kolejowy w Dachau. Pogrzebaliśmy wszelkie różane domysły co do naszej przyszłości. O Dachau już przed wojną pisano dużo w gazetach.

Odmarsz z dworca do obozu koncentracyjnego nie odbył się już tak delikatnie, jak to w Cieszynie przedstawiano publiczności. Rozdawano już śmiało kopniaki.

Otworzono ogromną bramę obozu koncentracyjnego, zabudowania przy wejściu do obozu miały wygląd prawdziwej twierdzy. Witały nas bombastyczne hasła o obywatelskich cnotach człowieka, wymalowane dużymi literami na budynkach, żeby były widoczne poza terenem obozu. Obcym widzom musiały nasuwać się wnioski, że za bramą panuje spartański duch sprawiedliwości. Dlatego wszyscy, którzy ślepo wierzyli słowom zbrodniarza Hitlera, można śmiało twierdzić, że takich oddanych zwolenników miał ponad 90% - dziś z całą stanowczością zaprzeczają, jakoby w takich obozach działa się krzywda.

Według mego zdania źle zrobiono, że zaraz po procesie w Norymberdze nie wydano zarządzenia, obowiązującego przez 20 lat wszystkie

niemieckie miasta i wsie, że na ruchliwych miejscach w specjalnie urzędowo przez władze aliantów zamkniętych i dobrze strzeżonych gablotkach nie wywieszono potworne zdjęcia wynędzniałych postaci, szkieletów ludzkich i hałd trupów, które napotkano zaraz po wyzwoleniu w obozach koncentracyjnych. Na mnie, któremu takie postacie były znane, robią one jeszcze dziś wstrząsające wrażenie. Zamiast urzędowej denazyfikacji tego rodzaju metoda politycznego wychowania niemieckiej młodzieży i dorosłych byłaby jak najbardziej skuteczna, a jednocześnie w pełni humanitarna.

IV

Sześciotygodniowy pobyt w Dachau - rzekomo okres kwarantanny - był możliwie znośny. Nie brano nas jeszcze do robót, organizm posiadał rezerwy kalorii i nie odczuwał jeszcze początkowo tego sromotnego głodu, który później tak bardzo dawał nam się we znaki. Ale już w pierwszych dniach

spostreśliśmy, że głód to największa zmosfera tego obozu. Porcje chleba maleńkie, a cienkie zupki stanowiły resztę naszego posiłku, bo te tak zwane porcje suche były śliną dla zgłodniałego żołądka.

Codziennie na placu apelowym liczone szeregi z głodu wynędzniałych postaci. Widzieliśmy pierwszych zmarłych, z nędzy już formalnie wysuszone szkielety ludzkie. A kiedy pewnego dnia podczas apelu z karą cielesną 25 uderzeń bykowcem na pośladki - otrzymał je jakiś Cygan, którego jęki z bólu unosiły się ponad plac apelowy - w serca nasze wstąpiła wtenczas twoga.

Tu i ówdzie rozpoznawano znajomego profesora uniwersytetu, dostojnika kościelnego. Nic ich nie różniło od zwykłego nauczyciela czy kapłana lub prostego robotnika, byłego działacza społecznego. Wszyscy w pasiakach z czerwonymi trójkątami - odznaką politycznego przestępcy - i numerami na piersiach. Wszyscy bez różnicy wykonywali zajęcia

obozowe, czuliśmy się zcementowani wspólną niedolą, łączyła nas silna wiara w lepsze jutro, a serca nasze żarem przenikała miłość do straconej Ojczyzny.

Zdeptano człowieczeństwo, ujarzmiono zdolności i wszelką indywidualność, osobistą wolność obrzucono błotem i podeptano najwznioślejsze odruchy duszy.

Podczas spisywania osobistych danych w obozie Dachau zeznałem zgodnie z prawdą, że jestem niepalący. Niczego tym w przyszłości nie zyskałem, mogłem jednak udowodnić katowi Gusen, Carlu Chmielewskiemu, że Polak mówi prawdę. Ale o tym nieco później.

Nasz blokowy, Niemiec - Szwajcar, był chłopem morowym, też z czerwonym trójkątem na pasiaku. Był kulturalny w podejściu do polskich więźniów, wszystkie przednie zęby miał wybite. W Gusen później na własne oczy byłem świadkiem wybicia przednich zębów przez SS-manów. Jest

to wprost makabryczne widowisko. Oprawca wkłada gumową pałkę do ust więźnia, rozkazuje mu ją przegryźć i w tym momencie pałkę gwałtownie wyrwa się z ust delikwenta. Oczywiście ofiara traci wszystkie przednie zęby, z ust leje się krew, a SS-mani kopią biedaka, że jest taki świńtuch (Schweinehund), bo "niemrawą" krwią zanieczyszcza posadzkę.

Nasz bezzębny blokowy w Dachau był komunistą, nienawidził SS-manów i cały faszyzm, ostrzegał nas przed kapami z zielonymi trójkątami, gdyż oni bez wyjątku mordercy i zwyrodnialcy. Kiedy pod koniec maja przed obliczem SS-manów przeprowadzano segregację więźniów na tych, którzy mają pozostać w Dachau i których przeznaczono do wyjazdu z obozu, bardzo ubolewał nad ostatnimi. Przepowiadał, że grozi im ciężki obóz. Mówił o "Auschwitz", gdzie buduje się nowy obóz koncentracyjny. Ja osobiście uradowałem się z tej nowiny, cieszyłem się, że może przejadę przez rodzinne strony, zobaczę je, a gdyby mi potem było przeznaczone umrzeć, prochy moje nie byłyby poza

Polską.

Okazało się, że aż tak daleko nie chcą nas wcale przetransportować.

V

Ustawiono nas początkiem czerwca na placu apelowym w stronę bramy wyjściowej. Jakaś otucha wkradła się w nasze serca. A może będzie nam tam lepiej. Pesymistów odsądziliśmy z góry, by nie psuć nastroju, musieli podporządkować się naszym sugestiom. Każdy z nas otrzymał większą, bo dwudniową porcję chleba i kawałek kiełbasy. Czyż zmiana w postępowaniu z "Schutzhaftingernami"? Nie mogłem pojąć aż tyle dobroci i życzliwości ze strony naszych oprawców. Niedługo jednak okazało się, że wszystko było obliczone z szatańską premedytacją, bo kiełbasa była słona, słońce przygrzewało, a piekielnego pragnienia nie było czym ugasić.

Wtłoczono nas do bydlęcych wagonów. A wtłoczono tyle, iż z góry wiedzieliśmy, że z nami będzie źle.

Wagony szczelnie pozamykano, tylko małe zakratowane okienka u góry udzielały nam trochę Bożego światła. W wagonie robiło się duszno, ludziska musieli załatwiać swe fizjologiczne potrzeby, a nie wiedzieli jak. Rozpacz wstępowała w nasze serca. Odporniejsi stali, a słabi kucnęli w tłoku. Słońce prażyło na dachy wagonów. Pociąg zatrzymał się na większej stacji. Widziałem przez okienko, jak NSV Schwestern biegały i roznosiły wodę. Nie nam, lecz SS-manom, którzy w środku pociągu jechali w osobowym wagonie. Do SS-manów uśmiechnięte, wprost narzucały im się z chłodzącymi napojami. Przecież wiedziały, co to za transport i widziały poza kratami bydlęcych wagonów z pragnienia rozgorączkowane ludzkie twarze. Nikt nam nie podał wody! Narodzie niemiecki, coś podobnego nie można zapomnieć, bo to boli. Takie serca mają "empfiname, zarte, deutsche Frauen"!

Pociąg ruszył dalej. Prosiłem: Boże, ześlij nam wody! Żywo udusimy się w tym zaduchu z pragnienia! I nadszedł ratunek z nieba, bo rozpętała się w dali

burza, a na nasze wagony spadała oczekiwana woda, spływały małą rynienką ponad zakratowanym okienkiem strumyki brudnej cieczy, którą dłońmi skwapliwie zwilżyliśmy osta. Nie zważaliśmy na to, że w następstwie zabić nas może tyfus czy inna choroba, jedyną myślą było zaspokoić pragnienie.

I tak w godzinach do południa dojechaliśmy do - zdaje się Sankt Georgen albo Sankt Valentin na wschód od Linzu w Górnej Austrii. Przez okienka dostrzegliśmy, że okolica musi być piękną. Niestety zaraz, kiedy pociąg stanął, bramy piekielne otworzyły się przed nami i nie mieliśmy możliwości podziwiać pięknej okolicy. Z kolei SS-mani odsuwali drzwi poszczególnych wagonów, a pierwsze ich pytanie było, ile nas nie żyje. Jakoś zdziwili się, że w naszym wagonie jeszcze wszyscy jakoś dychają. Schnell, schnell - ustawiać się w szeregi, ogólne kopanie i bicie.

Nareszcie ruszyliśmy. Pochód ogromnie wyczerpujący, bo stosowano coś w rodzaju falowanego marszu, to

znaczy maszerowaliśmy szybko a potem znów powoli. Tak na przemianę, a to potwornie męczy. Szliśmy tak może półtora do dwóch godzin, może i dłużej. Nie mogę już dziś określić trwania tego męczącego marszu, wiem iż byliśmy wszyscy potwornie znurzeni, kiedy dochodziliśmy do celu. Z poza drutów kolczastych dochodziły nas nieludzkie krzyki i przekleństwa, taki mały zielony kapo ochrypłym głosem nadzwyczaj się popisywał. Ze zjeżoną ze zgrozy skórą i ogromnym lękiem w sercu wkroczyliśmy przez prowizoryczną bramę z kolczastego drutu na teren jednego z najokropniejszych obozów śmierci, obozu koncentracyjnego Gusen, tego prawdziwego piekła Gusen.

Tortury

Początkiem czerwca 1940 roku, kiedy staliśmy się przymusowymi mieszkańcami obozu koncentracyjnego w Gusen, tenże obóz znajdował się dopiero w rozbudowie. W pierwszych miesiącach naszego obozowego pobytu było nas tam około 3 do 4 tysięcy

więźniów. Nie mam ściślejszych danych, wyliczyłem to sobie wówczas w przybliżeniu, obliczając wielkość czworoboku, ustawionego z więźniów na placu apelowym. Jeżeli natomiast weźmie się pod uwagę, że codziennie około 10-ciu trupów wywożono do sąsiedniego obozu macierzyńskiego Mauthausen, gdzie funkcjonowało już krematorium, nietrudno sobie wyobrazić, że Gusen musiał być naprawdę istnym piekłem. A liczba dziennych ofiar wzrosła niekiedy i do ponad 40-tu, zależnie od nastroju komendanta Carla Chmielewskiego, zuchwalstwa SS-manów i kapów niemieckich. Wtenczas ludzie, w sile wieku, kilka dni temu jeszcze zdrowi, padali jak muchy pod ciosami oprawców.

Dziś o tak wysokiej śmiertelności małego ponad 3000 osób liczącego miasteczka dzwoniono by na alarm przez wszystkie rozgłośnie świata i starano by się wszelkimi sposobami ratować zadżumioną miejscinę. Więc sam fakt, że śmiertelność w obozie była niewspółmiernie wysoka, świadczy o

niehumanitarnym obchodzeniu się z więźniami. Naprawdę z zażenowaniem i wstydem przychodzi mi pisać o okrucieństwach, dokonanych na ludziach niewinnych i bezbronnych, przez naród środkowej Europy, przesycony wysoką kulturą. Przy opisywaniu tych niehumanitarnych czynów śmiertelne trwogi przeżywa się ponownie i przeszkadzają nawet w śnie, Osobiście hołduję zasadzie, by zapomnieć i przebaczać. I tu musimy przebaczyć, lecz nie wolno nam przemilczeć, bo wspomnienia są dla nas bolesne nad miarę.

Kiedy bowiem trzy lata temu jechałem z Berlina poprzez tereny Niemieckiej Republiki Federalnej do Londynu, jeszcze przed Hannoverem wsiadło do mojego przedziału starsze już małżeństwo wraz z innym też już starszym panem. Rozmawiali z sobą na tematy wewnętrznej polityki, kto będzie następcą Adenauera a z kolei przeszli do opowiadania przeżyć frontowych. Dziwny to naród ci Niemcy, przegrali wojnę a wciąż im te wspomnienia tak miłe. Rozmawiali o tym z

zadowoleniem, wprost z pasją. Siedziałem sobie cicho w kąciku przedziału i dziwiłem się niezmiernie, iż ludzie ci nie mają innych tematów do rozłuszczania. Dla niemieckiego narodu jest to widać chlebem codziennym, pasjonować się wojną. W tym tkwi wielkie niebezpieczeństwo dla świata!

Kiedy tak obaj panowie delectowali się wydarzeniami frontowymi, nagle jeden z nich niespodziewanie w swoim entuzjazmie zapytał mnie na którym to ja froncie walczyłem i czy też byłem ranny. A mnie tak "prosto z mostu" wypadło, że jadę z Polski i że podczas wojny przebywałem w obozach koncentracyjnych. Konsternacja na całego, do rozmowy wtrąciła się owa pani i jakoś uratowała sytuację, zagadując o sprawach powszednich. Ani odrobiny współczucia, ani słówka prawdy, że Hitler wyrządził nam wielką krzywdę. I to właśnie jest objaw bardzo niepokojący. A kiedy wracałem, to pewna 20-letnia młoda matka absolutnie nie chciała mi uwierzyć, iż by naród niemiecki tak ohydne miał popełnić zbrodnie. Niech więc powstają

księgozbiory, które przysłym pokoleniom przekażą dla przestrogi, do czego doprowadziła pycha i buta niemieckiego narodu. A nas obowiązuje czujność na wszelkie przejawy życia politycznego Niemców.

Naszymi oprawcami w obozie byli SS-mani i nie lepsi od nich zieloni kapowie. Ci ostatni objęli nad nami bezpośrednią "pieczę" jako blokowi, sztubowi i kapowie poszczególnych grup roboczych. Wprawdzie każdy z tych zielonych oprawców tłumaczył się tym, że do obozu dostał się za kłusownictwo, jednak ich zachowanie w stosunku do więźniów politycznych wskazywało na to, że byli to skazańcy za zabójstwa na długoletnie więzienie, gdyż rzeczywiście zdradzali cechy morderców i zwyrodnialców. Niemieckich kapów z trójkątem czerwonym, to jest politycznych, można było w Gusen zliczyć na palcach.

Metody, którymi hitlerowcy posługiwali się przy wykańczaniu niewinnych i bezbronnych ludzi, były tak nieludzkie, że naród niemiecki

hańbią na setki lat. Tej czarnej plamy tak szybko nie zetrze się z historii. Bezbronnych ludzi bez wyroku sprawiedliwego sądu męczyć i zabijać, tego chyba nijak nie można obronić przed światem XX. wieku. Jedyne serdecznym pragnieniem pokuty i zadośćuczynienia, a na to się nie zanoszą.

Księża z poznańskiego opowiadali nam jeszcze w Dachau, że w jednym z więzień zmuszano księży pić z naczynia wspólny mocz!!! Przy poznaniu niemieckich okrucieństw i szykan nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak nie było. Na własne oczy widziałem, jak więźniowie musieli gryźć i połykać glisty. Kopaliśmy w Gusen głębokie doły, w które potem w ciężkich skrzyniach przelewano kał ludzki, wynoszonych przez nas z latryn obozowych. Była to praca więźniów z karnej kompanii, do której i ja należałem. Było nas kilku na dnie około 3 metry głębokiego dołu. SS-man pastwił się nad nami, bo trzeba było szybko wyrzucać ziemię pod górę. A siły opadały. Jeden z Żydów jakoś niezręcznie trzymał łopatę w ręku,

zresztą był chudy i już wynędzniał. Z wściekłości SS-man jego niemiłosiernie kopał i kazał mu wszystkie glisty gryźć i połykać. Potem w ten sam sposób znęcał się nad innymi Żydami. Straszne widowisko! Już nie mogłem się na to patrzeć i odwróciłem nieco głowę w inną stronę na znak, że mnie to przeraża. Spozrzegł mój gest SS-man, a kiedy na mnie krzyknął, czy i ja chciałbym pokosztować, zacząłem ze strachu łopatą machać w twardej glebie i co sił wyrzucać za siebie w górę.

Widziałem na własne oczy, jak jednego współwięźnia z karnej kompanii, szczuplutkiego Poznańczyka mniejszego wzrostu, wrzucano do takiego rowu, napelnionego ludzkim kałem. Na powierzchni tego bajora gnieździło się przeróżne robactwo. Wrzucili go tam SS-mani, żołnierska elita niemieckiego narodu. Parę dni potem wyszedł z obozu, był śmiertelnie blady, prawdopodobnie skończył w Poznaniu pod toporem kata.

Widziałem też, jak tuż obok mnie kulami śmiertelnie zraniono jednego

starego Żyda. Był to ten, któremu wieczorem pałką wyrwano przednie zęby. Biedaczyna był bardzo osłabiony ponieważ SS-manów, a im prawdopodobnie znudziło się naigranie z ofiarą, już prawie pół trupem, umyślnie wyszczuli go biciem i kopaniem poza strzeżoną linię naszego terenu pracy i strzelono do niego. Strzały usłyszał komendant Chmielewski, przyszedł ze swym adiutantem. Później zjawił się trzeci drab, rzekomo miał to być lekarz obozowy. Widziałem jak w obecności tego jęczał: Lesset mich sterben! "Komisja" oddaliła się, prawdopodobnie, by spisać protokół ze zużytych naboju.

Na własnym ciele odczułem, jak to Niemcy potrafią "pasować na rycerza". Podpadłem jednemu z oprawców, że wyglądem niby "Pfaff" (klecha). Zatrzymał mnie w swej swawoli, ja stałem przed nim na baczność z obnażoną głową, a on walił twardym kijem po głowie i ramionach. Kiedy krew sięczyła mi po twarzy, dał mi w dodatku kilka kopniaków i rozkazując: "Lauf, lauf!" mogłem od niego

odskoczyć. Był to kapo i kawał drania, za zadane mi bóle życzyłem mu to najgorsze i parę dni później z satysfakcją dowiedziałem się, że w nocy jak nieludzkie stworzenie zdechł na udar serca. Za bardzo był wypasiony na naszych porcjach.

25 uderzeń bykowcem na pośladki stosowano wtenczas, kiedy obozowa dzicz szczególnie była podniecona, wtenczas bito za byle głupstwo. W tej nocy, kiedy na kilka godzin zbiegł więzień Nowak, a my za karę staliśmy w nocy bez jedzenia na placu apelowym, wtenczas ks. Masny, dziś już ś.p. proboszcz z Grodzca koło Skoczowa, otrzymał około 70 takich uderzeń na raz, bo był grubawy i do tego ksiądz. Osobiście dwukrotnie doznałem tej tortury. Stosowało się ją na specjalnym koźle z drzewa. Delikwent musiał przy tym na głos liczyć. Bieda kiedy się pomylił i przy tym zajęczał. Musiał liczyć od nowa. Nieszczęśliwy był ten, kto po niemiecku nie potrafił liczyć. Był tak długo bity, póki nie osłabło ramię katuszącego. Aż do 15-go uderzenia bicie sprawia ogromny ból, później, kiedy

nerwy są już uszkodzone, nie odczuwa się bardzo bólu, bykowiec uderza jakby po martwym ciele. Za to krew wychodzi poza skórę i przecieka do bielizny. Kilka nieprzespanych nocy, bo wszystko boli, zbite ciało jest sine, aż czarne. Głębokie krwiaki na obu pośladkach, zropiałe, z płatami zmartwiałej skóry. A leczyć się nie było gdzie, bo z zasady do rewiru po takich przejściach nikt nie chciał próbować się dostać, gdyż tam wykańczano. Przy pracy trzeba było być wtenczas bardzo ostrożnym, by nie podpaść, gdyż groziło wykończenie tak już zmalretowanego człowieka.

Widziałem i na własnym ciele odczułem, jak upatrzoną ofiarę bito aż do upadku, a potem tratowano buciskami po leżącym człowieku. Sporo więźniom w ten sposób złamano po kilka żeber. Ja też przez kilka dni po takim traktowaniu czułem ból w czasie oddychania. Kultura niemieckiego nadczłowieka!

Nędzarzy, którzy o własnych siłach nie mogli zejść z placu apelowego wleczono do sadzawki obok naszego

bloku karnej kompanii. W sadzawce myliśmy nasze od ludzkiego łajna śmierdzące nogi i trepy. Zaznaczam tutaj, że w dużych drewnianych skrzyniach wynosiliśmy z dołów obozowych ludzkie ekskrementy, gdyż kanalizacji wtenczas nie było. Zawartość kloak była płynna, a nasze skrzynie przeciekały. Można sobie wyobrazić jaki od nas ulatniał się fetor i ileśmy za ten smród byli bici, przechodząc po obozie, a najgorzej było ze skrzynią przejść przez tylną bramę obozową, która prowadziła w stronę kamieniołomów. Bito nas, ile się tylko dało, a SS-mani mieli z tego radość, że siłą faktu przy rańniejszym marszu zostaliśmy zawartością skrzyni opryskani. Sadzawka przed blokiem karnej kompanii służyła właśnie do mycia naszych największych brudów. Była w niej śmierdząca, brudna woda. Chorych, zgłoszonych na placu apelowym, którzy byli bez sił, wrzucano po kilka razy do sadzawki, a potem już nieprzytomnych wleczono na rewir, skąd oczywiście nie wrócili. Niedaleko była wieża strażnika SS. Pamiętam dobrze, jak strażnik, widząc masakrę, którą przeprowadzano

w sadzawce, śmiał się z tego do rozpuku.

Widziałem, jak zwątpieni rzucali się na drut kolczasty i tam ginęli. Bito niemiłosiernie w budce kapa kamieniołomu. Ten kapo, z postawy bokser wagi ciężkiej, nie posługiwał się bykowcem. W swej budzie bił "sztylem" do łopat. Złamał ich kilka przy biciu swych ofiar, którzy przy odkrywce w kamieniołomie nie byli bardzo ruchliwi. Byłem tylko kilka dni w jego budzie, polski pisarz wiedząc, że włączę się ostatnimi siłami, wyszperał mi u tego draba pod dachem pracę, coś mu tam rysowałem i upiększałem jego rezydencję. Nerwowo jednak nie wytrzymałem i gdzieś indziej znalazłem miejsce pracy - wolałem ciężko pracować, aniżeli codziennie słuchać jęki i widzieć umierających.

Bito tak mocno w twarz, że w oczach zaiskrzyły nam się gwiazdy. Człowiek automatycznie runął na ziemię, bo byłoby obelgą dla oprawcy, gdyby cios mu się nie udał, a delikwent jeszcze stał po uderzeniu pięścią w twarz. Ta

procedura mogła się powtórzyć po kilka razy i mogła się zakończyć fatalnie, bo uderzenia były tak silne, że wybijano zęby, a człowiek doznał uszkodzenia słuchu, co stwierdziłem na własnym ciele.

W obozie stosowano bez przyczyny karne ćwiczenia w formie różnych podskoków w kucącej postawie, w trepach na ostrych kamieniach jeszcze nie zwałowanej ulicy między blokami. Chodzenie w trepach po rodzaju kamienistej drodze sprawiało dużo kłopotu, gdyż obicie drewniaków z twardej skóry wcinało się w nogi. Cóż dopiero, kiedy schyleni musieliśmy skakać po ostrych kamieniach. Młodszy jeszcze jakoś wytrzymał, dla starszych więźniów takie karne ćwiczenia były lekcją ogromnego wysiłku, która organizm wyczerpywała do cna.

Żeby kogoś w krótkim czasie wykończyć, stosowano szybkie przerzucanie żwiru lub kamieni z miejsca na miejsce. Nad skazańcem stał SS-man, który bił kiedy ruchy z łopata

nie były błyskawiczne. Dwie godziny takiej udręki, a ofiara padała z omdlenia na ziemię. Nazajutrz już trupa wywożono wraz z innymi do Mauthausen, do krematorium. A rodzina otrzymywała wiadomość, że zmarły wykończył się z powodu wady serca. Nie wiemy, czy niewolnictwo doznało kiedyś takiego rozkwitu, jak za czasów faszyzmu niemieckiego.

Był też swoisty sposób udręki przy noszeniu ciężkich kamieni z kamieniołomu do obozu. Z ciężkim kamieniem na ramieniu musieliśmy schodzić w dół powoli, natomiast pod górę do kamieniołomu często biegiem, żeby nijak nie można było odsapać. Też okrutna metoda.

Młodzi SS-mani, którym swą pierwszą życiową zaprawę na wrogach pozwolono zaprezentować w obozie koncentracyjnym Gusen, wykazywali szczególną aktywność w czynach niegodnych stworzenia, określanego mianem człowiek. Pewnego razu wpadli na pewien oddział, gdzie pod dachem stosunkowo lekkie roboty wykonywała

mniej liczna grupa więźniów już starszych i schorzałych. Szczeniaki te, może 16 - 17 - letnie wpadli jak szaleńcy do pomieszczenia i z sadyzmem wszystkich niemiłosiernie bili prętami. Po dokonaniu tego bohaterskiego czynu znikli. W takim duchu wychowywano elitarną niemiecką młodzież, z której dziś zapewne rekrutują się poważni państwowi funkcjonariusze.

A po moim odejściu miały się dziać w obozie okrucieństwa jeszcze większe. O tym będą wspominali inni.

Głód

Straszliwy głód był po torturach drugim czynnikiem decydującym szeregi ciężkiego obozu koncentracyjnego w Gusen. Porcja chleba była tak mała, że może wystarczyłaby dla człowieka, będącego w bezruchu. Oprócz tego otrzymaliśmy wcześniej rano formalnie cieniutką zupkę, w południe po jednej chochli Eintopfu, składającego się z kartofli, jarzyny a przede wszystkim z wody. Po

spożyciu tego obiadu po godzinie odczuwano jeszcze większy głód, bo żołądek został podrażniony i dopiero domagał się swego. Wieczorem po apelu gorzka ziołowa herbata i jakiś kawałek suchej strawy. Najbardziej odpowiadały nam kartofle w łupinach, bo czterema kartoflami można było do snu jakoś zapchać żołądek. Niekiedy był ser lub kawałek kiełbasy. Jako lekarz weterynarii zdawałem sobie z tego sprawę, że karmiono nas maleńkimi kawałkami mięsa i przetworami mięsnymi najpodlejszej jakości, bo z dobitków. Zresztą jakością mięsa nikt się nie przejmował, organizm nie odczuwał ani braku białka, za to bardzo pragnący był za chlebem.

Niektórzy twierdzili, iż do jedzenia dodawano środki pobudzające człowieka do maksymalnego wyczynu w pracy. Dużo przemawiało za tym. Ludziska bowiem pracowali resztkami sił i nagle przerwała się ich nić życia. Często umierali w nocy podczas snu. Gdy nas budzono, stwierdziliśmy, że ktoś, kto wieczorem jeszcze z nami rozmawiał, przeszedł już do wieczności.

Podejrzenia, że w soli były środki dopingujące, nie można określić jako bezpodstawne. Może ktoś z żyjących kolegów mógłby na ten temat powiedzieć coś konkretnego, gdyż niejednokrotnie przez niemieckiego kapa z ust SS-mana dosłyszane zwierzenia docieramy do naszej wiadomości.

Do zupełnego wycieńczenia doprowadzały nakazane głodówki. Wtedy pewnej grupie więźniów zmniejszono, lub w ogóle odmawiano już i tak zbyt skromnej dawki chleba. Wstrzymanie porcji chleba choćby tylko na okres krótki, bo jednego dnia, organizm fatalnie odczuwał. Niekiedy cierpiał cały obóz. Nam wszystkim w pamięci utkwiła głodowa i koszmarna noc, kiedy po ucieczce więźnia Nowaka wszystkim wstrzymano jedzenie, a na placu apelowym staliśmy do późnej nocy, będąc przy tym maltretowani. Takie wstrząsy potrafiły niejednemu z więźniów śmierć przyśpieszyć.

Lepiej wytrzymywali głodowe porcje ci, którzy przed aresztowaniem z

różnych przyczyn nie przejadali się. Natomiast u tych, którzy żyli w dostatku, rezerwy szybko się wyczerpały, organizm nie posiadał swej odporności w stosunku do głodówek i mocno odczuwał następstwa głodu. Żołądek przyzwyczał się wydzielać duże ilości soków trawiennych, które w takich warunkach nie miały co trawić. Uczucie permanentnego głodu jest coś okropnego i sprawia dotkliwy ból. Kto doznał prawdziwego głodu, oburza się na widok dziś już tak często znów porzrzucanych kromek chleba czy bułek, w dodatku posmarowanych i obłożonych kielbasą. W niektórych zakładach pracy dużo poniewiera się po kątach chleba.

W obozie koncentracyjnym był taki głód, że niektórzy więźniowie ukradkiem z dołów SS-mańskiej kuchni wyciągali resztki kielbasy i okruchy chleba, zmywali te i jedli. Sam byłem tego świadkiem. Wstyd o tym pisać, że niektórzy z głodu aż tak daleko się posuwali w poszukiwaniu pokarmu, bo doły kuchni SS-mańskiej były zarówno ustępami tych "panów". Niech większym

rumieńcem wstydu okryją się przedstawiciele tego narodu, który w tak nieludzki sposób męczył głodem.

Ja sam jadłem surowe kłącza z kapusty, wyrzucone na śmietnisko, bo nie mogłem opanować palących boleści okolicy żołądka. Wiedziałem z góry, że w następnym dniu będzie mnie morzyła może i krwawa biegunka, a jednak nie mogłem opanować się z głodu.

Choroby i robactwo

Do tortur i głodu dołączyły się różnorakie choroby, które oczywiście prawie zawsze były następstwem okrucieństw, głodu i anty-sanitarnych warunków, panujących w obozie w 1940 r. W porównaniu z Dachau, gdzie rzeczywiście nie można było się skarżyć na podstawowe zasady higieny, obóz w Gusen był w okresie mego pobytu fatalnie wyposażony. Ustępami były zwykłe śmierdzące doły, gdzie w dodatku sprawy fizjologiczne trzeba było załatwiać w pośpiechu, bo stała kolejka, a czasu nie było wiele. By

uniknąć biegunek, często krwawych, radzono nie pić wody, tylko herbatę ziołową. Owej gorzkiej herbaty dawali jednak tak skąpo na kolację, że rzadko dolewali do menażki po raz wtóry. A ludzi gnębiło wielkie pragnienie, bo pracowano w lecie podczas upałów.

Często przychodziła śmierć na skutek niedomagań serca. To pompa ludzka, osłabiona niedożywieniem i fizycznymi wysiłkami przestała nagle pompować życiodajną krew. Tych ludzi poznawało się po jakimś dziwnym blasku ocz. Niektórzy stawali się nagle apatyczni do wszystkiego, inni byli podenerwowani, jakby jeszcze chcieli się bronić przed nadchodzącą śmiercią. Zgodne więc były niektóre orzeczenia lekarskie, na żądanie wydawane zresztą na podstawie kart chorobowych, że ten i ów zmarł na skutek choroby serca. Dranie jednak nie dopisywali, co było powodem, że w tak niekiedy młodym wieku więzień umierał na serce.

U innych śmierć przychodziła trochę wolniej. Na skutek słabości serca, niedomagań innych organów, oraz jako

następstwo głodu, występowały u ludzi obrzęki ciała - twarzy, kończyn i tułowia. Wiedzieliśmy, że to "Hungeroedeme". Mój organizm też był w takim stanie. Gdyby moje zwolnienie nastąpiło 2 tygodnie później, byłoby już za późno. Przypominam sobie, że kiedy po moim zwolnieniu z nakazu zgłosiłem się w biurze Gestapo w Cieszynie, obecna tam była jedna pani, która prawdopodobnie prosiła o zwolnienie męża z obozu. Gestapowiec, chcąc jej pokazać, jakie panują w obozie idealne warunki życia, wskazał ręką na mnie i perswadował jej, jak dobrze wyglądam, co jest dowodem, że jej mężowi nic złego nie grozi. Takie więc stosowano zakłamanie wobec ludności, ja w rzeczywistości byłem u krańca sił, że chodziłem jakby po przebytej ciężkiej operacji. Organizm zwolnionych z obozu był tak wyczerpany, że dużo po powrocie do domu umierało, bo zaraz zaczęli normalnie jeść. Ja zdawałem sobie sprawę, z fatalnych następstw szybkiego przejścia do normalnego odżywiania i przez trzy miesiące odżywałem się tylko chlebem i słodką żytnią kawą oraz owocami, co mnie

uratowało od śmierci. Serce mogło tym powoli przyjść do równowagi a organizm jakoś zdążył się zregenerować.

Więźniów dziesiątkowała biegunka. Występowała na tle niewłaściwego odżywiania, na skutek picia w upalne dni zbyt zimnej wody w ilościach nadmiernych, może też na skutek domieszki jakichś toksycznych soli do południowego "Eintopfu". Zalatywał on często ługowatym smakiem, zresztą byłem w tym kierunku nadzwyczaj uczulony i często mówiłem o tym dziwnym smaku obozowym kolegom, którzy mienionego smaku nie wyczuwali. Nie wykluczam też durowe zachorowania, bo krwawa biegunka występowała w wielkim nasileniu i pochłaniała wtenczas dużo ofiar. Przecież człowiek był zniewolony żyć w anty-sanitarnych warunkach i nie należy się dziwić, że choroby przeredzały nasze szeregi w przyśpieszonym tempie.

Ciężkie chodaki na nogach wdzierały się w ciało. Dochodziło do bolesnych lokalnych owrzodzeń i niejednokrotnie stały się przyczyną ogólnego zakażenia

organizmu i śmierci więźnia. Ludzie z bolesnymi owrzodzeniami nóg podpadali kapom przy poruszaniu się, a oni ich z reguły w swój sposób wykańczali.

Do poważnych udręk należały ropiejące rany na ciele, szczególnie na pośladkach po silnym biciu bykowcem lub kijem. Bieliznę wymieniano rzadko, brud dostawał się do otwartych ran, utworzyły się bolesne ropiejące rany. Rewiru każdy bał się jak ognia, mimo iż polscy więźniowie, którzy tam pracowali, naprawdę starali się poza plecami kapa i lekarza nieść pomoc jak się tylko dało. Zawsze usłużny kolega H. Sz. pomagał tam naprawdę z wielką ofiarnością i niejednokrotnie dostarczał mi potajemnie różnych lekarstw, które potem wydawałem ciężko chorym w obozie. Niestety często pomoc okazała się już spóźniona.

Dużo chodziło z połamanymi żebrami na skutek brutalnego traktowania buciskami żołdaków po klatce piersiowej na kamienistą drogę powalonych więźniów przez uderzenia

w twarz. Normalne oddychanie sprawiało ból, a ci którzy po takich ciężkich doświadczeniach nie mieli możliwości pracować w jakiejś lżejszej formacji, doznane obrażenia ciała przyplacali przeważnie gwałtowną śmiercią, bo podpadali przy wykonywaniu robót.

Przy pobiciu na koźle dochodziło często do uszkodzenia nerek przy zwijaniu się z bólu delikwenta. Dlatego wszczepialiśmy sobie zasadę, że kiedy już nas nie minie 25 razów, wtenczas należy ból przewyciężyć, liczyć i nie ruszać się, bo bestie waliły jak opętane.

Gruźlica zahamowana w organizmie na skutek właściwego odżywiania, w obozie koncentracyjnym z powodu głodu i zmagających fizycznych robiła gwałtowne postępy u więźniów, dotkniętych prątkami Kocha i w krótkim czasie spowodowała śmierć. Tak zmarł mój drogi przyjaciel, profesor cieszyńskiego gimnazjum, św. p. Wiktor Fajkosz. Kiedy z karnej kompanii zabrano go do rewiru, przeczuwałem, że nigdy już go nie zobaczę i stracę na

zawsze. Jeszcze parę dni temu bardzo mi współczułem, kiedy po 25 uderzeniach moja tylna część ciała wykazywała czarno - sine strugi, a ja z bólu nie mogłem się obrócić z boku na bok. A on kochany człowiek sam już był w objęciach śmierci.

Dużo ofiar pochłonęło zimno. Pamiętam jak pod koniec października 1940 r. spadł w rejonie Gusen pierwszy śnieg i do tego było nagle bardzo mroźno. Podczas rannego apelu drżałem z zimna na całym ciele. Rano wypłem tylko lekką zupkę, bo porcję chleba zjadłem już wieczorem. Mieliliśmy tylko letnie pasiaki. Nasz sztabowy, taki mały zbój, specjalnie mnie nienawidził. Zamiast długich kalesonów dał mi przy wymianie bielizny krótkie kobiece majtki jako jedynemu na "sztubie". Oponować nie mogłem, bo by mnie wykończył i tak chodziłem aż do tego mroźnego dnia. Wyruszyłem z innymi do kamieniołomu po kamienie, zacząłem grzebać zsiniałymi i zmarzniętymi rękoma pod pokrywą śnieżną w kamieniach. Nie wytrzymałem z zimna. Wzięła mnie

rozpacz i przeszmygłowałem się w szeregi tych, którzy z łopata pracowali przy odkrywce kamieniołomu. Chciałem machać łopata, żeby się rozgrzać, dygotałem dalej z zimna. Myślę sobie, że niedługo będzie ze mną koniec. Już wszystko było mi obojętne. Położyłem łopatę i skokami biegłem w stronę latryny, która ulokowana była w chronionym miejscu za skałą. Tam w ukryciu przegimnastykowałem z zimna kilkanaście minut i wróciłem na miejsce pracy. Ale mróz nie ustępował i znowu przebiegłem w owe zaciszne miejsce. Musiał mnie jednak obserwować kapo, ten, który później przyjął mnie do swej budy jako kreślarza i który tak mocno bił więźniów trzonkiem od łopaty. Gwizdnął za mną, kiedy schodziłem z górki. Wiedziałem dobrze, że to ostrzeżenie dotyczy mej osoby, a jednak pobiegłem dalej. Tam tylko ze strachu załatwiłem swoje fizjologiczne sprawy i zaraz wróciłem z powrotem. Kapo oczekiwał mnie już przed wejściem na górę. Na nieszczęście stanąłem blisko lekko zamrożonej kałuży przed nim na baczność i "kutze ab!" Pyta mnie, dlaczego tak ciągle odbiegam z miejsca

pracy. Nie mogłem mu przecież pokazać krótkich majtek, boby to się rozniosło po całym obozie, a sztabowy poniewierał by mnie może jeszcze więcej. Skłamałem, że dręczy mnie ogromna biegunka i że nie mogę długo wytrzymać przy pracy. Popatrzył na mnie spode łba i jak mnie grzmotnął prawą ręką w twarz położyłem się do bajorka. Wstałem, a on mnie gruchnął lewą pięścią, upadłem na lewą stronę i wyczułem, że mam po zębie. Wstałem, on mnie kopnął w pośladki, a ja biegiem poszybowałem w górę. W międzyczasie ociepliło się nieco i proszę mi wierzyć, że owe policzki zdecydowały o moim życiu, bo z gorąca cała twarz mnie piekła. Pobryzgany wodą pasiak wysuszył się na powietrzu, a w tym dniu zafasowaliśmy kaftany i skarpety. Majty też zdołałem na innym baraku wymienić na cieplejsze kalesony, wprawdzie już używane, ale to mi nie przeszkadzało. W tym dniu przeziębilem pęcherz na całego, sprawa nieprzyjemna, kiedy w pracy panuje surowa dyscyplina. Wyleczyłem się z tego dopiero w domu u siostry.

Dzień ten był dla całego obozu ciężki. Ludzie zimno odchorowali i dużo po tym ich umierało. Chłód tak mocno dokuczał, że ryzykowano nosić na plecach papier po workach z cementu, co jednak się nie opłacało, bo po wykryciu groziło 25 ciosów, a często wykończenie więźnia.

Więźniom dokuczała awitaminoza. Tylko mała garstka potrafiła sobie w tym kierunku coś zorganizować w kuchni przy skrobaniu ziemniaków, gdzie niekiedy i surowa marchewka wpadła do rąk, którą w ukryciu formalnie bez poruszania ust połykano, bo w kuchni nie wolno było jeść. Za takie "przestępstwa" mocno bili i wyganiali z kuchni.

Jedliśmy surowe listki kapusty, już nagnite, które wyrzucano w pobliżu dołów na odchody, a to potem wszystko razem zasypywano ziemią.

Raz rozzuchwalony SS-man rzucił za mną ogryzione jabłko i trafił mnie. On się z tego śmiał, a ja w pośpiechu schyliłem się po ogryzek i zjadłem

chciwie może wraz z robakiem, bo owoc był robaczywy.

Dodatkową plagą stało się robactwo: wszy i świerzby. To było rzeczą zupełnie naturalną, że doszło do zapaskudzenia naszej odzieży. Spało się na podłodze na brudnych siennikach, a koszule i kalesony zmieniano raz na parę tygodni. Regulamin obozowy zapewne był inny, a w praktyce obchodzono się z nami według innych zasad. Może SS-mani zdobywali tym gratisowe dla swych rodzin środki do prania. Fakt był, że brudna bielizna przechodziła skromną dezynfekcję w kotle parowym, czym zabijano robactwo, a bielizna wychodziła po praniu jak przed tym, gdyż z pralni wychodziła powalana kałem. Nie ma się czemu dziwić przy tych nagminnych biegunkach.

Wieczorem przed spaniem polowano na wszy. Zbieraliśmy się pod słabymi żarówkami naszej izby, a każdy z nas uśmiercał ich po kilkanaście i kilkadziesiąt. Najbiedniejszy był ten, nad którego pryczą wisiała żarówka. Tam spadały wszy dobite i niedobite. Kilka

miesiący po moim zwolnieniu z obozu SS-mani rzekomo radykalnie przystąpili do tępienia robactwa. Jak to wyglądało, niech opiszą ci koledzy, którzy byli naocznymi świadkami tych nieludzkich okrucieństw. Nie chcę opisywać tego, czego na własne oczy nie widziałem i podkreślam, iż moje wspomnienia są dokumentem zbrodni hitlerowskich, a nie lekturą przeze mnie wymyśloną.

Deptanie podstawowych praw człowieka, poniewierka człowieka - to też dobijało duchowo. Dobijała nas tęsknota za rodziną, niepomysłne wiadomości z frontów wojennych, o sytuacji najbliższych, to przygniatało i tak już wyniszczony organizm człowieka. Niedobra wiadomość z kraju, przeszmuglowana obrazkowo w liście, spowodowała nagle psychiczne załamanie się męczonogo człowieka, co równoznaczne było z jego konaniem.

Walka o życie

Z chwilą, kiedy przestąpiliśmy bramę obozu - piekła, umysł każdego z nas

nastawił się na walkę o życie. Nigdy jednak nie przybierała ona takiej formy, że Polak był Polakowi wilkiem. Często objawiały się uczucia Samarytanina w stosunku do współcierpiących i to charakteryzowało w obozie nas Polaków. Nie było też brutalnych egoistycznych cech wzajemnej krzywdy, która w tak trudnych okolicznościach życiowych w lekkim odcieniu mogła się przejawiać. Ale to jest zupełnie zrozumiałe. Były jednostki, które potrafiły dorobić się lepszego stanowiska w obozie, przy jakiejś lżejszej pracy pod dachem, czy pomagać w kuchni lub przy noszeniu kotłów, gdyż Kosttragery mieli prawo do oczyszczania kotłów z resztek strawy. Niektórzy patrzyli na to z pewnym krytycznym wzrokiem, jednak z punktu widzenia walki o życie, a przede wszystkim widma głodu było to zupełnie ludzki i naturalny objaw. Być na przykład pisarzem blokowym gwarantowało już pewne bezpieczeństwo w obozie, większe porcje kotłowej strawy, a może i chleba po jakimś nieboszczyku. Ale powiedzmy sobie tak szczerze, że tylko jeden spośród wielu mógł być tym pisarzem i

na to nie było rady. Wszelka zazdrość w stosunku do Schreiberów i ich posądzanie to według mojego rozumowania zupełnie nie jest na miejscu. Często taki Schreiber - Polak potrafił zniwelować złośliwość w stosunku do niejednego z nas i gdybyśmy nie mieli właśnie owych Polaków Schreiberów, nasza sytuacja w obozie byłaby jeszcze gorsza.

Za to znów nikt nie ma prawa kogoś sądzić o to, że w obozie przebywał niecały rok, a inny przez całą wojnę tam siedział. Obaj wyszli jako tako z całej udręki, prawdopodobnie ten, kto wytrzymał cztery lata miał lżejszą pracę. Umierali biedacy po paru tygodniach ciężkiej pracy, a inni potrafili się uchronić od śmierci, przez długi okres czasu. Tak więc nie można traktować sprawy.

Jak więc ratowano swoje życie? Wiadomo, że ponad 90% więźniów Ślązaków w Gusen rekrutowało się z kół tak zwanej sfery wykształconej - nauczyciele, księża i inteligencja pracująca. Ciężki obóz w Gusen miał

ich wykończyć. Kiedy jednak na placu apelowym szukano rzemieślników: murarzy, zdunów, elektrykarzy, kosiarzy, brukarzy, kamieniarzy, dziesiątki rąk podnosiło się w górę. To była uczciwa walka o życie. Szybko zorientowano się, że "fachowcy" nie grozi brutalne bicie, bo ich potrzebują. Niejeden sprytny nauczyciel wyczuł, że jest w każdej dziedzinie rzemieślnikiem i tak długo codziennie dźwigał rękę, aż dostał się do komanda, gdzie można było pracować pod dachem, w miejscu chronionym od deszczu i mrozu. Starsi koledzy poduczylili trochę i człowieczyzna stał się fachowcem. Oczywiście wszyscy znów nie mogli zostać fachowcami, bo tylu nie potrzebowali.

Przytoczę zabawną historię, która dla mnie mogła się skończyć fatalnie. W pierwszych dniach pracowałem przy walcowaniu ulicy między blokami. Praca polegała na tym, że za lejec dużego wału ciągnęło zdaje się 16 ludzi. Podkapo nad nami był Polak z Zaolzia. Jego praca polegała na tym, że oglądał się na wszystkie strony, krzyczał wniebogłosy i wywijał prętem, kiedy

zbliżał się SS-man lub kapo. Wywiązywał się ze swojego obowiązku dobrze, bo nas tym nie krzywdził, a w oczach SS-manów wyglądał na groźnego. Jednym słowem "Walzkomando" nam się podobało. Ale nasz kochany kapo zwiął gdzieś do innego komandy, widocznie praca była łaskotliwa. Jednego poranku Walzkomando się ustawiło, a nie widać kapa. Wybór padł na mnie. Więc naśladowałem jak mój poprzednik ruchy kapa, ale cóż z tego, uwiesiło się niesłusznie mojego sprzętu drogowego kilku dobrych znajomych więźniów i ciągnęło ich ponad dwudziestu. Pech chciał, że nadszedł Rappertfuhrer ze swoją świtą SS-manów, widzi ten wielki zlepek ludzi i krzyknął na mnie, żebym mu zdał raport z ilości robotników. Nie wiedziałem, ilu mam ludzi, zgłaszam na oko dwudziestu ludzi. On przelicza i jest ich sporo więcej. Wysmagał mnie bykowcem i zaraz odechciało mi się kapowania. Funkcję polskiego kapa dla prawdziwego Polaka były udręką moralną, bo przecież nie chciał krzywdzić, a jednak musiał się ze swojej funkcji wywiązywać. Niejeden z tych

polских podkapów został wyznaczony przypadkowo, a sprzeciwić się nie mógł. Więc z tego punktu widzenia należy ich oceniać.

W walce o życie przy znoszeniu kamieni do obozu wyszukiwano specjalnie wąskie kamienie. Były oczywiście lżejsze, lecz układano je na ramieniu tak zgrabnie, że posterunek SS-mański myślał, iż kamień jest ciężki. Ale nie każdy dał się tak oszukać. Schodzę raz w dół do obozu z bardzo ciężkim kamieniem. Przede mną, kroczy sobie młody kolega z płaskim kamieniem, wyprostowany. Myślę sobie, kochasiu podpadniesz, i w tej chwili krzyczy SS-man "stać". Obaj zatrzymujemy się, a on rozkazuje rzucić kamienie na drogę. Potem zapytuje się mnie, jaki mój zawód. Widocznie podobał mu się zawód "Tierarzta" bo musiałem schylić się po lekki płaski kamień, a mój biedny kolega przy kopniakach wsuwał na barki mój ciężki kamień. Więc tu walka o życie przez młodego kolegę wykonana była nieprawidłowo i miał pecha.

Podczas odkrywki w kamieniołomach

stosowano swoistą walkę o życie. Pracowałem tam kilka tygodni przy chłodzie i mrozie aż do czasu zwolnienia. Ten, kto umiejętnie ziemię rzucał w dół, nie napracował się tyle, co w tej robocie okazywał dużo zaradności. Przy odkrywce ręce musiały bez przestanku ruszać łopata. Każdy wybierał najzgrabniejszą. Ile się przy tym zrzuciło ziemi, decydowało o naszym wysiłku. Te strugi ziemi musiały być dla kapa widocznie i tak szeroko rzucane, że wszystko z dołu wyglądało, jakby na łopacie było dużo ziemi. A w rzeczywistości było tej ziemi mało. Odkrywkowe prace w kamieniołomach przy wymaganych stałych ruchach rękami były męczące i po pracy dużo więźniów schodziło na dół na plac apelowy z powodu braku sił podpartych przez kolegów.

W obozie było podczas mojego pobytu tylko dwóch lekarzy weterynaryjnych. Jeden kolega gdzieś z kieleckiego i ja. Pewnego dnia wywołano, że potrzebny jest "Tierarzt". Jakoś nikt inny nie podniósł ręki oprócz nas dwóch. Ja stałem wtenczas dalej od

przodu szeregu, więc wybrano kolegę. Byłem tym trochę zasmucony i rzeczywiście był powód do smutku. Powierzono mu pieczę w chlewiku nad maciorą i prosiętami. Dobre stanowisko, bo już nie zaznawał głodu, gdyż mógł jeść z korytka wraz ze świniami. A najeść się do syta, o tym marzył każdy z nas. Ale parę miesięcy później zjawił się nagle u mnie, był bardzo przygnębiony, gdyż powierzono mu przeprowadzić pewne operacje u świnek, czego jednak z powodu braku narzędzi nie potrafił wykonać. Nie wiem jak z tego wybrnął, bo już więcej go nie spotkałem.

Wielu też było chętnych skrobać kartofle w kuchni do późnej nocy, kiedy inni mogli już spać. Dobrowolnie rezygnowali ze snu, żeby podczas skrobania ziemniaków zjeść trochę marchwi lub innej surowej jarzyny. Rewidowano przy wyjściu z kuchni i w tym leżał sęk, bo to, co ukradkiem zjadło się w kuchni, nie było właściwie zgryzione. Organizm wprawdzie otrzymał nieco witamin, za to skutki chciwego połykania surowizny były fatalne, bo z reguły już w dniu

następnym występowały zaburzenia jelitowe w formie ostrych biegunek, które bardzo osłabiały. W końcu wielu rezygnowało z tej dodatkowej dobrowolnej roboty, gdyż dla organizmu przynosiła więcej szkody aniżeli pożytku.

Niektórzy uważali, że praca przy żniwach u gospodarzy poza obozem jest dla ich zdrowia korzystna, bo tam miłosierna gospodyni ukradkiem wsunęła więźniowi coś do kieszeni, słoniny czy chleba. Na początku życia w obozie kiedy organizm jeszcze nie był zupełnie wycieńczony, kilkanaście więźniów chętnie zgłaszało się do tej stosunkowo ciężkiej pracy z kosą. Ja osobiście korzyści dla organizmu w tym nie widziałem, bo chwilowe najedzenie się nie zrównoważyłoby wydanych przeze mnie kalorii.

Za to wyjazdy naszych "fachowców" do pobliskiego Sanct Georgen, gdzie budowano domy dla SS-manów, zapewniały podczas pracy lepsze traktowanie, tam zapewne nie było owych chłostów, którymi w obozie nas

na każdym kroku częstowano. Poza tym spokojna robota pod dachem. Już to poruszanie się poza piekłem Gusen oddziaływało dodatnio na usposobienie więźnia. Ja osobiście nigdy tam nie pracowałem i wiem to tylko z opowiadań drugih.

Walka o życie wzmagala się, kiedy warunki atmosferyczne się pogarszały. Wtenczas ci, którzy musieli pracować pod gołym niebem zaczęli rozpaczać i załamywać się duchowo. Takich ludzi śmierć już nie odstępowała, chyba że ktoś z kolegów był w stanie podać deskę ratunku w formie lżejszej pracy gdzieś w chronionym miejscu pod dachem.

Pod koniec tego artykułu pozwolę sobie opisać tragikomiczne wydarzenie, powiązane z bezwzględna walką o utrzymanie życia, a dotyczyło to mej osoby. Będąc w karnej kompanii, chorowałem raz na ostrą formę biegunki. Ujmowałem sobie płynów i chleba, by jakoś wysuszyć organizm i nie drażnić przewodu pokarmowego, szczególnie jelit. Dobrzy koledzy dostarczali mi węgielki ze spalonego drzewa, żułem to

wszystko wraz z jakimiś nieznanymi mi ziołami, które rzekomo miały dobrze przeciwdziałać. Jednej nocy mimo zmęczenia nie mogłem usnąć. Zdałem sobie z tego sprawę, że jeżeli we śnie zanieczyszczę łóżko, czeka mnie niechybna śmierć. Nasz sztubowy był wiedeńskim Żydem, nie był w stosunku do nas zły, ale ze strachu o swe życie nie okazywał serca Żydom, których często maltretowano ze strony SS-manów. Zresztą dowiedziałem się po wojnie, że i jego wraz z innymi Żydami również uśmiercono. Ów żydowski kapo był trochę arogancki i ja osobiście z tego powodu go nie lubiłem. Miał zwyczaj swoje kałesony w nocy wietrzyć na parapecie. Tego sobie nikt z więźniów nie mógł pozwolić. W tej nocy wychodziłem kilka razy cichaczem do dość odległego dołu kloaczego. Raz wstałem minutę za późno, wybiegłem cicho z baraku, księżyc przyświecał a mam wszystko w kałesonach. Cóż w takiej okropnej sytuacji robić. Szybko otarłem się moimi kałesonami do czysta, ściągnąłem czyste kałesony sztubowego z okna i włożyłem w to miejsce moje zabrudzone. Cichutko położyłem się na

pryczę i z trwogą w sercu oczekiwałem pobudki. A kiedy zagrzmiał potężny głos sztubowego Auf, auf - wdziałem szybko spodnie, a tu słyhać krzyk: Verfluchte welches Schwein hat mir das gemacht! Nie było jednak czasu na przeprowadzenie kontroli, bo czasu rano nie było wiele, a zresztą może i myślał, że zrobił mu to na złość jakiś inny kapo albo sztubowy z sąsiedniego baraku. Ja zaś milczałem jak mur i dziękowałem Bogu, że minęła mnie śmierć. W obozie były sytuacje, że niekiedy ryzykowało się wszystko, by ratować życie.

Geneza 1-szej karnej kompanii w Gusen

Niedługo po naszym przyjeździe do Gusen musiały z Dachau dojść również nasze cywilne ubrania i inne rzeczy. To wszystko trzeba było ująć w kartotece i w tym celu utworzono tzw. "Effektenkomando". Była to grupa więźniów, obeznana w piśmie w języku niemieckim. Do Effektenkomanda dostałem się przypadkowo, kiedy zaraz po moim pechu przy "walzkomando" w

pośpiechu szukałem dostania się do jakiejś grupy więźniów, gdzie może nadarzy się lżejsza praca. Widzę jak jakiś starszy Scharführer wybiera sobie ludzi, którym język niemiecki nie sprawia trudności. Zgłosiłem się błyskawicznie i SS-man wcielił mnie do swej grupy. W duchu cieszyłem się, że zakotwiczyłem w nowo utworzonej grupie roboczej. Praca gwarantowała dach nad głową, była lekka, bo polegała na dokładnym spisywaniu naszych osobistych rzeczy, ułożeniu ich w worki z nazwiskiem i numeracją - jednym słowem przyjemniejszej pracy nie było w obozie. Scharführer, któremu podlegała komora, nie był człowiekiem złym i nie znęcał się nad nami, kapem stał się Polak, w cywilu radca prawny.

Niestety wielu z nas nie potrafiło docenić tego szczęścia, że mógł pracować w komorze efektów. Gdyby każdy z nas potrafił się w swoim nałogu przezwyciężyć, nie doznalibyśmy tej straszliwej katastrofy. Scharführer nas kilkakrotnie przestrzegał, żeby nie palono tytoniu. Zresztą w całym obozie był surowy zakaz palenia. Ten zakaz

musiał tym bardziej obowiązywać w komorze, gdzie ulokowano cały nasz prywatny majątek, stosunkowo łatwopalne rzeczy, bo ubrania i worki papierowe.

Jestem mocno przekonany, że gdyby komendant obozu Chmielewski nie był nałogowym palaczem, osądziłby nas za to pod mur na rozstrzelanie lub powieszenie i byłby może z punktu widzenia ochrony mienia, jemu powierzonego, w porządku. Przecież była wojna, mógł objąć to nazwą sabotażu. A jednak tego nie uczynił, może chciał bez ceregieli załatwić to w sposób jemu najbardziej wygodny. Chmielewski był notorycznym zbrodniarzem, ale wtenczas działał w jakimś zaślepieniu na naszą korzyść. Bogu za to dzięki!

Może to komuś z żyjących jeszcze kolegów z karnej kompanii, nie będzie przyjemnie, że opiszę przebieg wydarzeń zgodnie z prawdą. Proszę usilnie, uczmy się na naszych popełnionych błędach i oby moje zeznania były przestrożą dla młodszej

generacji. Niestety i dzisiaj jakoś jeszcze trudno nam podporządkować się takim zarządzeniom władz, że w autobusach, przedziałach dla niepalących nie wolno palić. Przecież to takie słuszne zarządzenia, a są osoby, które tych zarządzeń nie chcą respektować, choć się ich publicznie upomina.

Brałem od początku założenia grupy roboczej współdział w czynnościach "Effektenkomando", miałem możliwość dokładnej obserwacji wszystkich tam pracujących ze mną. Stanowczo odrzucam jako złośliwe plotki ze strony kapów czy SS-manów po całym zajściu rozsiane w obozie, że rzekomo niektórzy z nas przywłaszczyli sobie rzeczy, które były własnością innych. To nieprawda! Jeżeli przy nas z maltretowanych może u kogoś podczas rewizji znaleziono rzeczy obce, mogły to być li tylko zapalki, krzesiwo lub resztki papierosów, które wyciągano z kieszeni cywilnych ubrań. Ja nie paliłem i nie wiem co to nałóg nikotynowy, jednak z powiadań innych mogę sobie to wyobrazić. Przywłaszczenie sobie tych drobnych rzeczy nie było żadnym

przestępstwem, lecz podyktowane brakiem woli przy ujarzmianiu jednego z najbardziej rozpowszechnionego nałogu na świecie. W komorze byłem jedynym więźniem, który w życiu nie doznał smaku papierosa i przyznam się szczerze, że po naszym pogromie w duchu złorzeczyłem wszystkim, bo zupełnie niewinnie dzieliłem ich los.

Bezstronnie więc opowiem, co tam się wszystko działo. Jak już zaznaczyłem, praca nasza polegała w komorze na tym, że komisyjnie otwierano worek po worku z odzieżą poszczególnych więźniów, dokładnie spisywano zawartość worka w formie protokołu i zakładano kartotekę. Pretiosa były rejestrowane osobno. Nakazano nam przeszukać kieszenie i ujawnić zaszyte rzeczy. Oczywiście jadalnego nic nie było, bo wszystko więźniowie między sobą porozdzielali i spożyli jeszcze przed oddaniem cywilnych ubrań i wręczeniem nam pasiaków.

W kieszonkach zostały tylko resztki tytoniu u palących, co było zgubą nas wszystkich, pracujących w kamerze. Tu i

tam znaleziono jeszcze bibułki, a kiedy Schaarfuhrer, który zresztą ostrzegał przed paleniem, niekiedy zostawił nas samych, może sam wyszedł na papierosa - wtedy koledzy niestety robili sobie szybko skręty i zaciągali płuca tytoniem w kącie baraku i obłoczki dymu unosiły się nad ich głowami. Od początku przeczuwałem nieszczęście, krytykowałem i prosiłem, lecz bez skutku. Polski kapo też był nałogowym palaczem, a moje uwagi lekceważył sobie.

Pod koniec czerwca 1940 roku w komorze pracowaliśmy coś dopiero ponad tydzień, Schaarfuhrer znów się gdzieś oddalił i zamknął nas na klucz. Tak sobie niekiedy myślę, czy na nas z powodu podejrzenia, że palimy w baraku nie poskarżył u samego komendanta, bo kiedy się oddalił kilku niepoprawnych kolegów w kącie baraku częstowało się szybko skrętem. Przez okno widzieliśmy, jak komendant obozu ze swoją świtą zbliża się w stronę naszego baraku. Wołano, że idzie, ale pamiętam, że musiał wpaść pędem, bo w okamgnieniu był w drzwiach.

Wszyscy pracowaliśmy, jednak ślady dymu z papierosów musiał spostrzec, bo z jego rykiem "Nier wurde geraucht" zaczęło się dla nas prawdziwe piekło. Nie jestem w stanie opisać co się działo. Jednym wieszano na słupkach, innych katowano bykowcem. Mnie też wykopano przed barak, gdzie stanąłem oko w oko z komendantem obozu. Wściekły ze złości pyta mnie, czy paliłem, odpowiadam hardo, patrząc w jego szatańskie ślepie, że jeszcze nigdy w życiu nie miałem w ustach papierosa. Wymuszał na mnie zeznanie bijąc mnie bykowcem po głowie i twarzy, kto to palił. Odpowiadałem mu każdorazowo, że nie wiem, co było zresztą zgodne z prawdą, gdyż zajmowałem się wtenczas sortowaniem odzieży, a wszystkich kolegów w komorze jeszcze po nazwisku nie znałem. Chmielewski wyciąga mały rewolwer, przykłada do mej piersi i wzywa mnie, żebym ja "Polnischer Schweinehund" się przyznał, że paliłem i powiedział, kto jeszcze palił. Znów odpowiadam mu z całą stanowczością, że nie paliłem i nie wiem, kto palił. Popatrzyłem na niego z jakimś spokojem, przygotowany na

wszystko, nawet na śmierć. Nagle uspokoił się, jego prawa ręka z rewolwerem opadła, a stojącemu obok niego Oberkapowi nakazał dać 25 cięgów na pośladki, co tenże skwapliwie wykonał.

Lotem błyskawicy wieść o tym wydarzeniu przeszła przez cały obóz, w którym zapanowała zgroza, bo spodziewano się represji w stosunku do wszystkich więźniów. Nie pamiętam, w jakiej formie odczuł to cały obóz, bo nas traktowano tak nieludzko, że losem innych nie było czasu się przejmować. Musieliśmy stać na baczność w pewnej odległości jeden od drugiego, by uniemożliwić skontaktowanie się wzajemnie. Było dość chłodny wieczór i mżawka, pasiaki wchłaniały wilgoć. Staliśmy tak do późnej nocy blisko bramy obozowej.

Niedaleko mnie wykańczano naszego kapa - Polaka. Biedaczyna musiał w błyskawicznym tempie przerzucać żwir łopatą z miejsca na miejsce. Dyszał, pocił się i uginał od znużenia. Jako głównego winowajcę, który odpowiadał

za czyny całej grupy roboczej w krótkim czasie zmaltretowano na śmierć.

Na resztę wpędzono późno wieczorem jak bydlaki do jednego pustego baraku i tam ustawiono nas twarzą do twarzy znów w pewnej odległości od siebie. Często odwiedzała nas nocna straż SS-manów i znęcała się nad nami. Wtenczas też dużo batów oberwałem, przebitą miałem w kilku miejscach skórę na głowie i byłem zbroczony krwią.

W godzinach dopołudniowych oczywiście byliśmy od ubiegłego południa bez jedzenia i picia, sądził nas sam Chmielewski. Ja stanąłem przed jego obliczem jako ostatni. Dokąd ci wszyscy przede mną zostali wyprowadzeni nie wiedziałem, ale tak przychodziła mi na myśl szubienica. Byłem i na to przygotowany. W nocy zrobiłem sobie rachunek sumienia. W myślach rozstałem się z najbliższymi i było mi zupełnie obojętne, co ze mną zrobią. Ale władca obozu widocznie nasycił się już naszą krwią, bo przemawiając do mnie, nie był już

wcale groźny. Zapytał o moje nazwisko, a potem powiedział mi, że wierzy, iż nie paliłem. Prawdopodobnie wyczytał to z mojego osobistego zeznania podczas naszego spisu w Dachau. Ale że nie zdradziłem winowajców, dlatego przekazuje mnie do karnej kompanii na okres 2 miesięcy. Następnie zwrócił się do obok mnie stojącego kapo, by tenże umył mi twarz wodą. Musiałem być mocno zboczony krwią, kiedy tego draba bez serca owiał ów lekki odruch litości. A może tylko nie chciał po prostu widzieć tak zohydzonej twarzy! Ja zrezygnowałem z pomocy kapo, umyłem się szybko z krwi i brudu i przy tej okazji chciwie napiłem się wody z kranu, gdyż bardzo byłem spragniony. Ucieszyłem się, kiedy wszystkich innych zastałem również w karnym oddziale.

Tam na baraku wcielono nas do Żydów, a naszym sztabowym był również Żyd. Stałem się zupełnie obiektywny w sprawie wydarzeń w komorze efektów. Tego wszystkiego moglibyśmy uniknąć, gdyby nie ten nieszczęsny nałóg nikotynowy. W karnej kompanii doznaliśmy naprawdę bardzo

ciężkich przeżyć, tam zmarł jeden z moich najwierniejszych przyjaciół obozowych, profesor gimnazjum w Cieszynie kol. Wiktor Fajkosz. Człowiek o złotym charakterze. A nasz dobry polski kapo nałóg swój - jak już zaznaczyłem - zaraz przypłacił życiem.

Wiara, nadzieja, miłość

Tak, nie inaczej muszę zatytułować rozdział, który ma opisać duchową postawę Polaka w obozie Gusen. Bo właśnie tam, gdzie wróg nas upodlał najrozmaitszymi sposobami, jaśniała postać polskiego Ślązaka - więźnia, ponad ludzką nikczemnością i promieniowała w nasze serca tak mocno, że jeszcze do dziś, po ponad 20 latach, owe wzniosłe cechy śląskiego Polaka w Gusen utkwiły mi w pamięci. Ileż to heroizmu i poświęceń wykazywali więźniowie tego obozu piekła faszystowskiego. Stałowa wiara w lepsze jutro, w odrodzenie Polski trzymała nas wszystkich mimo tylu udręk fizycznych i moralnych przy sile. Wiara w Polskę była tak potężna, że w

chwilach największego męczeństwa hartowała nasze duże. Inaczej nie mogę sobie wytłumaczyć mej własnej postawy, kiedy Chmielewski wymierzył przeciw mnie broń, a jak tym uporczywiej obstawałem przy swoim. Przeleciała mnie wówczas myśl, że stanę się ofiarą dla Ojczyzny i jakoś nic się nie bałem. Rozumiem dobrze tych, którzy z okrzykiem "Niech żyje Polska" padali pod ścianą śmierci, względnie zawisnęli na hitlerowskich szubienicach.

Nasza wiara była tak silna, że nikt nie wierzył iżby Polska już nie miała powstać, choć wieści z frontu były przygniatające. Tym, którzy duchowo się załamywali, starano się to wyperswadować, że czym głębiej zapuści się wróg w świat, tym gorzej będzie z utrzymaniem zajętego obszaru, co się też spełniło. Tu i tam rzucano różne pocieszające parole, prawdziwe, a częściej nieprawdziwe, które więźniów ponuraków na krótki czas znów podnieciło do życia i dodawało otuchy. Na szczęście pesymistów była tylko garstka. Ja osobiście sam udzielałem się w akcji rozpowszechniania takich

przekazywanych mi wieści, bo inni skwapliwie pragnęli pocieszających wiadomości. Wielu kolegom tym sposobem uratowano życie, bo zdołano duchowo im pomóc w okresie groźnej depresji.

A wiara w lepszą przyszłość zrodziła nadzieję do życia. Objawiała się tym, że budowano "zamki na wodzie", marzyliśmy o różnych przedsięwzięciach, które podejmiemy po wojnie i powrocie do domu. Ja na przykład potrafiłem podczas ciężkiej pracy przy łopacie delektować się wymaginanymi planami budowy średniej szkoły w Piotrowicach, gdzie przed wojną stałem na czele gminy. Budowałem w duchu szerokie ulice, a wzdłuż ulic piękne parkany. A kiedy dokuczał głód i awitaminoza, wtedy wyobraźnia cieszyła się widokiem przetworów owocowo - warzywnych i wytwórni różnych ekstraktów spożywczych. O tym potrafiłem w myślach rozważać całymi godzinami podczas odkrywki w kamieniołomie. Tam też - dobrze mi się przypomina - długo potrafiłem rozmawiać na temat

produkcji cukierków z jednym cukiernikiem z miejscowości Sokołowo, powiat Koło. Podczas pracy objaśnił mi najrozmaitsze sposoby wyrobu cukierków, tortów i ciastek. Albo cieszyliśmy się z tego, że kiedy wrócimy, będziemy codziennie rano jeść tylko smaczne zupy mleczne.

Często rozważaliśmy problemy religijne, dużo było wiary w pomoc Boga, że nas nie opuści i zaprowadzi do wolnej Ojczyzny. Modlono się dużo na głos, gromadnie i nucono często ciszej pieśń "Pod Twą obronę Ojczyzna na niebie!" To wszystko wlewało nową nadzieję w serca nasze.

Tu i tam, w wolnych chwilach, można było często obserwować jak więzień zwierzał się więźniowi i kapłanowi, często z całych swych życiowych przewin. W obliczu śmierci odprawiał swą generalną spowiedź, tym zrzucił z siebie wszelkie wątpliwości życia, pogodną twarz na wszystko i tak potrafił przeżyć najtrudniejsze chwile obozowe.

Na naszej sali było dużo ewangelików - Ślązaków i wśród nas dokonywało się dzieło prawdziwego ekumenizmu. Staliśmy się wszyscy braćmi w Chrystusie, wprawdzie tak poniewierani jak za czasów Nerona, lecz wszyscy ożywieni nadzieją, że powstanie nasza kochana i sprawiedliwa Ojczyzna.

A miłość była wprost bezgraniczna! Nie było między nami rozterek, kochaliśmy się wszyscy jak bracia.

Nigdy Drodzy Koledzy nie zapomnę Wam tego, kiedy za karę przez 2 dni odebrano mi już i tak skromną porcję chleba, miałem taki głód, że wnętrzości wprost parzyły. Wtedy samorzutnie, bez mojej prośby zorganizowano u sporo kolegów na sztubie akcję, by mnie ratować i każdy uszczypnął kawałek chleba ze swej porcji, a uzbierano dla mnie w ten sposób ponad pół czapki okruchów chleba. To było dla mnie bardzo, bardzo dużo i zaspokoilem głód. Inicjatorem tego byłeś Ty kochany Józefie, obecnie opiekunie Wzgórza Żwirki i Wigury w Cierlicku.

Ty kochany Ferdynandzie Madecki z Małych Kończyc dałeś w Gusen swe życie jako ofiarę za Polskę, Wiem, że ciężko machałeś kosą poza obozem, a wieczorem dzieliłeś się z nami kawałkiem słoniny, który ukradkiem do rąk wsunęła Ci austriacka gospodyni. Ty musiałeś się z nami podzielić, przeszmuglowałeś słoninę do obozu, bo tak Ci podyktowało Twe szlachetne, miłością do głodnych kolegów pałające serce. Czy to nie najokazalszy obraz duszy Ślązaka?

Widziałem, jak silniejsi pomagali słabszym, jak z rewiru wydobywano lekarstwa i przekazywano je potrzebującym, którzy obawiali się tego obozowego szpitala, gdzie masowo grasowała śmierć.

Miłość sięgała tak daleko, że kiedy niektórzy mieli szczęście być na liście zwolnień, nie doznawali żadnej wewnętrznej radości, bo tak mocno zżyli się z niedolą współwięźniów, że ze smutkiem i w przygnębieniu opuszczali obóz. Nie spostrzegłem też żadnych

objawów podniecenia radosnego na twarzach tych kolegów, którzy razem ze mną zostali zwolnieni z obozu. Byliśmy jakoś dziwnie przygnębieni tym, że może pozostałych nie ujrzymy więcej. Wiedzieliśmy też, że w naszych śląskich okolicach czeka na nas zapewne nowa poniewierka i stały nadzór ze strony gestapo.

Powrót

Byłem u kresu sił, kiedy zostałem zwolniony. Na ciele rozpowszechnił się świerzb, wszędzie występowały silne obrzęki. Od chłodu i mrozu męczyło mnie ostre zapalenie pęcherza. W ostatnich tygodniach od głodu ratował mnie jak mógł zacny kolega H. Sz. Mejsiostrze udało mi się przekazać list w którym piszę, że się bardzo przeraziłem jej chorobą nerek. Oczywiście nic siostrze nie brakowało i natychmiast domyśliła się, że ze mną jest źle. Udała się według mej wskazówki do dr. Hagenowa, który mnie wyrwał z obozu.

Warto opisać polityczną sylwetkę dr.

Hagenowa, gdyż bez wyjątku prawie spotykano Niemców butnych i zarozumiałych, a on swoim postępowaniem był po prostu człowiekiem. Jako Regierungsveterinarrat był w obrębie powiatu Cieszyn - Frysztat ważną osobą. Był coś w moim wtenczas wieku, bo około 35 lat, a później wy badałem, że pochodził z Nadrenii blisko francuskiej granicy. Kilka tygodni przed moim aresztowaniem przyjechał do mnie samochodem, w tonie żartobliwym robił mi wyrzuty, że na jego wezwania nie reaguję i prosił, bym z nim pojechał do Cieszyna, gdzie będzie miał odprawę ze wszystkimi lekarzami weterynarii bez względu na narodowość. Nosił "Parteiabzeichen", lecz zaraz wyczułem, że musi być człowiekiem kulturalnym. W osiedlu przed Frysztatem zatrzymał wóz i zastrzelił bez wahania wałęsającego się pieska - widocznie była kontumacja psów. Potem rozmawialiśmy na różne tematy fachowe, a tu nagle już przed Cieszynem ostro zahamował, bo był silny zakręt, a z drugiej strony mijał inny samochód, którego prędzej nie spostrzegł z powodu wybudowanego

przed nami domu. Mówił, że tego rodzaju dziwactwa przy budowie dróg publicznych w Niemczech nie istnieją, gdzie wszystko przeprowadza się praktycznie i celowo. Następnie przeszedł na politykę i podkreślił, że silna i zdecydowana wola Fuhrera zmiażdży Anglię, gdzie powolna decyzja władz angielskich nie wytrzyma naporu bojowego wojsk niemieckich. Do dziś nie wiem skąd nabrałem tyle odwagi, gdyż na jego argumenty jakoś lekko wypadło mi z ust, że Hitler i tak tę wojnę przegra. Nic na to nie odpowiedział i myślałem, że za parę minut odda mnie w ręce gestapo. Jednak nic podobnego się nie stało. W Cieszynie spotkałem wszystkich moich polskich kolegów. W toku odprawy rozdzielił nam dr. Hagenow okręgi szczepienia przeciw różycy świń. Mnie przydzielił obwód skoczowski. Zwlekałem z objęciem posady w Skoczowie, ponaglił mnie jeszcze raz pismem. W międzyczasie aresztowano mnie w Piotrowicach.

W każdym razie wiedziałem, że jest mi przychylny i że nie jest hitlerowcem.

W obozie rozmyślałem nad tym, kto mógłby mnie wybawić. Byłem ze społeczeństwa wyklęty, a za wyklętym każdy obawiał się wstawić. Mógł bo zrobić tylko 100%-towy Niemiec. Przeczuwałem, że zimy nie przetrzymam i napisałem siostrze ów szyfrowany list. Siostra oczywiście zaraz po otrzymaniu pisma się zorientowała, że jest ze mną źle, odszukała w Cieszynie dr. Hagenowa. Tenże list przeczytał, zaklął Verflucht ich muss ihm helfen i rzekomo pojechał w mojej sprawie do samych Katowic. Pod koniec listopada 1940 roku wywołano mnie rano z listy zwolnień.

Po wojnie zrewanżowałem się trochę dr. Hagenowi, kiedy jego żona -była zresztą bardzo religijną niewiastą - prosiła mnie z Drezna o zaświadczenie o denazyfikacji męża, które jej natychmiast wysłałem. Nie wiem, gdzie dr. Hagenow obecnie przebywa, w każdym razie takiego Niemca każdy Polak uszanuje.

W tym dniu zwolniono mnie z Gusen i Mauthausen grupkę około 20

więźniów. Przewieziono nas w karetkce, w której przewozili trupy z Gusen do krematorium w Mauthausen, gdyż Gusen wówczas jeszcze własnego spaleniska trupów nie miało wybudowanego. W Mauthausen po długim oczekiwaniu na dokument zwolnienia i bilety kolejowe, ktoś ze straży obozowej zaprowadził nas poprzez lasy i krzaki ku dworcu w Mauthausen. I odtąd byliśmy "wolni". W ręku papierek o zwolnieniu z nakazem, by po przyjeździe zgłosić się w gestapo w Cieszynie, które roztoczyło nad nami dalszą "opiekę", tak że w rzeczywistości byliśmy stale pod obserwacją.

Miłe są wspomnienia, że Austriacy zawsze życzliwie odnosili się do nas więźniów. Już wspomniałem austriackie gospodynie, które naszym kosiarzom nie szczędziły chleba, a często i słoniny. Nie zapomnę też nigdy, jak blisko dworca kolejowego w Mauthausen jedna starsza pani szybko wręczyła mi bułkę i jabłko. Byłem do łez wzruszony takim objawem życzliwości w stosunku do mnie "wyrzutka".

Drugą miłą niespodziankę sprawili nam kolejarze austriaccy, którzy z nami jechali w wagonie. Zobaczywszy nasze niewyprasowane ubrania i gołe głowy, zaraz odgadli skąd jedziemy. Zaczęli z nami przytłumioną rozmowę i chcieli nam zaofiarować pieniądze, których myśmy nie przyjęli, bo każdy z nas po zwolnieniu otrzymał zwrot z depozytu własnej posiadanej gotówki. Za to z podziękowaniem przyjęliśmy odcinki kart na chleb dla podróżujących. Nad ranem przyjechaliśmy do Wiednia. Znałem dobrze Wiedeń, bo tam studiowałem i zaprowadziłem kolegów do hali targowej w III dzielnicy miasta, by zakupić chleb za podarowane odcinki. I tu nastąpiła miła niespodzianka. Jak tylko bowiem przekroczyliśmy halę targową, wiedeńskie przekupki z natury zawsze energiczne i "ostre w buzi" załamały ręce i chóralnie zawołały: "Jessas na, die leut san aus dem Kacet"! Nie tylko, że zaraz nas grzecznie obsłużyły, ale dodały jeszcze chleba bez kartek. Powyżej troje wymienionych faktów, należałoby upamiętnić jako dowód, że Hitler przez większość austriackiego

narodu był znienawidzony.

Kilka kilometrów przed Ostrawą dołączyli się w pociągu do naszej grupy robotnicy ostrawscy, z ostrawskich zakładów pracy. Niestety z wielkim żalem i przykrością muszę zeznać, że zamiast przekazać nam trochę współczucia, czegośmy tak bardzo pragnęli z ust bliskich nam Słowian, oni z nas kpili, żeśmy narodem głupim, bo nie poszliśmy śladami Hachy. Kiedy wysiedli, zrobiło nam się lżej. Tego rodzaju ludzie nigdy nie będą chlubą narodu czeskiego.

A kiedy powoli kroczyłem ulicą wśród domów mej rodzinnej wioski, prawie już o zmroku, poczciwi ludzie stali na progach domów. Dochodziły mnie słowa radosnego zdumienia i jakby jasność witała mnie z ich życzliwych twarzy. Płomyk radości utkwiał mi w sercu, bo byłem u swoich. Trzy miesiące leczyłem się, nim ciało wróciło do równowagi. Jednak widziane i doznane okrucieństwa w obozie koncentracyjnym Gusen nie mogą mi wyjść z pamięci, były okropne!

W świecie wokół nas szalała
bezlitosna pożoga wojenna. Na frontach
ginęli za wolność Ojczyzny bohaterowie
broni, a na froncie cierpień bohaterowie
w pasiakach stawiali mężnie czoło
rozwydrzonej pysze niemieckiego
faszyzmu.

Im wszystkim cześć i dzięki!

Jesień 1964 r.